

„Kto się boi Wirginii”

Ed. Albee

Kwartet w dzungli ludzkiej

Od dobrych paru lat w światowej literaturze dramatycznej nie było tak znakomitej sztuki jak „Kto się boi Wirginii Woolf?”. Można to powiedzieć bez żadnej obawy popelnienia omyłki pod bezpośrednim, nieodpartym wrażeniem, z którego — przyznając to — niełatwo uwalnić się od razu po opuszczeniu teatru. Edward Albee (pamiętamy jego „Opowiadanie w ZOO” wystawione w Teatrze Współczesnym i „Amerykański ideał” drukowany w „Dialogu”) zaliczany dotąd — słusznie — do awangardy i — tylko częściowo słusznie — do „teatru absurdu” napisał tym razem sztukę tradycyjnie realistyczną. Nawet z ciągami do naturalizmu — obyczajową i psychologiczną, w konwencji teatru, który na Zachodzie zwykło nazywać się komercyjnym, niemal bulwarowym, dziejącą się na scenie pudełkowej w czterech ścianach autentycznego mieszkania autentycznego amerykańskiego profesora uniwersytetu. A przy tym bardzo mocno zaangażowaną we współczesność — oczy-

wiście współczesność amerykańską.

Wszystko w tej sztuce trzyma się konkretnej rzeczywistości; jest to rzeczywistość amerykańska odsłonięta z drastyczną śmiałością. Wszystko jest tu życiowo prawdopodobne — oczywiście znowu w ramach obyczajowości amerykańskiej; ta warstwa sztuki nie nadaje się do przeniesienia do Europy. Wszystko jest tu psychologicznie umotywowane i „Wirginie Woolf” można by uznać za sztukę o kompleksie bezpłodności kobiety stwarzającej sobie mit zastępczy nieistniejącego, wymarzonego syna. Wszystko to mieści się w formach dziewiętnastowiecznych sztuk realistycznych i ich pochodnych.

Ale żadna z nich nie osiągnęła dociekliwości, przenikliwości i... okrucieństwa „Wirginii Woolf”. Albee przeszedł jednak przez „awangardę” i to widać w jego sztuce mimo jej „tradycyjności”. Proces obnażania przeszłości i nicowania wewnętrzznego czworga ludzi dokonuje się w czasie nocy pijackiej w ciągu trzech godzin, tyle trwa akcja sztuki, tyle trwa przedstawienie. Na początku jest to na pozór tylko kłótnia małżeńska, należąca do normalnego rytuału współżycia dwójga ludzi, którzy przez dwadzieścia lat przywykli i nie widzą już, że mają siebie gruntownie dość. W tę kłótnię wciągnięta zostaje druga para — gości. I tu już zaczyna się gra połączona z ekshibicjonizmem szczerości pod wpływem podniecenia alkoholowego. Z państwa profesorstwa odpadają efektowne etykiety, ukazuje się chamstwo i wulgarność, a także wzajemna nienawiść — przy resztkach przywiązania. Znęcają się nad sobą i poniżają, depcą wszystkie uczucia, niszczą obelgą i śmiesznością. Obnażają swoją podłość, nicość, pustkę, tchórzostwo, drapieżną zachłanność na pieniądź i wyrachowane, cyniczne karierowiczostwo. Zamieniają się w dzikie zwierzęta z dzungli. Taki jest świat, w którym żyją. Wiwisekcja dokonuje się stopniowo, warstwa po warstwie, najpierw ściąga się skórę, potem tkankę mięsna, dochodzi się do kości i, jeszcze głębiej, do szpiku. Aż do obłędu. Tylko Dostojewski sięgał do takich ciemnych i obskurnych zakarmarków duszy. Na końcu sztuki pozostają same potłuczone skorupy, zmięte szmaty ludzkie. Nawet mity zostały rozbite. Jest jeszcze tylko strach. „Kto się boi Wirginii Woolf?” jest sztuką śmieszną i okrutną, przerażającą i fascynującą, rozwickłą i mistrzowską. Mistrzowskie jest też przedstawienie w Teatrze Współczesnym. Rola Marty to rola piekielna — najwyższy egzamin dla aktorki. Antonina Gordon - Górecka zagrała ją cudownie, osiągając sukces godny zapisania w kronikach teatralnych. Przez cały czas na wpół przytomna od alkoholu zmagając się z prześladowcami ją obsesyjnie uczuciami. Ma jakiś wewnętrzny niepokój dyskretnie maskowany. A przy tym jest niezmiernie naturalna, w każdym ruchu praw-

dziwa. Promieniuje z niej urok kobiecości, dowcip, które łagodzą wulgarność grubych słów. Być może również mąż Marty George to najlepsza, życiowa rola Jana Kreczmara, który błyszczy tu w pełni doskonałością aktorstwa, świetnym prowadzeniem dialogu, swobodą. Tworzy postać autentyczną, zbudowaną bardzo oszczędnymi środkami zewnętrznymi ale głębią wyrażoną.

To była para inteligentna. Druga para jest głupia. Barbara Wrzesińska jako absolutna idiotka Honey i młody, utalentowany Andrzej Antkowiak jako obiecujący, urodziwy kanalia Nick nie dorównywali w grze tamtej wyjątkowej parze, ale razem z nią tworzyli bardzo harmonijną całość, a to już świadczy o nich jak najlepiej. Tę harmonijną całość dała też przedstawieniu reżyseria Jerzego Kreczmara, który jak naj-słuszniej zachował tonację realistyczną, doskonale stopniował napięcia, nadał potoczność dialogom i trafnie ustawił wszystkie sytuacje. Otto Axer stworzył realistyczne, średniozamożne i średnioładne wnętrza amerykańskie.

Edward Albee - Kto się boi Wirginii Woolf? - Sztuka w trzech aktach - Przekład: Krystyna Jurasz-Dąbka - Reżyseria: Jerzy Kreczmar - Scenografia: Otto Axer (Teatr Współczesny - Premiera prasowa 23.III.1965).